

Jerzy ŚWIĘCH

ETHOS TWÓRCZOŚCI – ETHOS PRACY

Sens obecności w kulturze nie polega bynajmniej na korzystaniu ze zdobyczy wypracowanych przez grupy „fachowców” i „ekspertów”, lecz na współpracy – nie zawsze zgodnej – partnerów dialogu, czemu na przestrzeni tylu wieków przyświadcza historia Kościoła.

Słowa papieża skierowane pod adresem przedstawicieli świata kultury, środowisk artystycznych, niosły zachętę do współuczestniczenia w dziele budowania kultury w oparciu o fundament wartości chrześcijańskich i ewangelicznych, gdyż jedynie taka kultura zdolna jest należycie sprostać temu wyzwaniu, jaki czas obecny rzuca człowiekowi. Tak ja odbieram to orędzie papieskie, wolne od natrętnej a jakże częstej w podobnych przypadkach moralistyki, brzmiące raczej jak ciche i pokorne świadectwo myśli, nawiedzanej na przemian przez słowa Ewangelii, listy apostołskie, norwidowskie cytaty... W takich razach nakazem jest, by nie powiedzieć za dużo i zbyt dosłownie i Ojciec Święty znakomicie tę próbę wytrzymał, co zresztą – dla historyka literatury jakim jestem – mogłoby stanowić przedmiot odrębnych a ciekawych medytacji.

Związek wszelkiej twórczej myśli z pracą? Oczywiście, w tym punkcie trafne intuicje starożytnych, np. stoików, wyprzedziły o całe wieki tezy chrześcijańskiej scholastyki (mówiącej choćby słowami św. Tomasza z Akwiny o warunkach, jakim ma sprostać „opus intelligentiae”), a potem pisma Simone Weil, Emmanuela Mouniera itd. Ale papież ów sekretny związek łączący pracę z twórczością widzi w aspekcie konkretów, dobrze znanych ludziom, których praca – zwłaszcza w tym kraju – tak często była poniewierana, instrumentalizowana i odarta z sensu... To samo gdy mówi o koniecznej dla każdego artysty przestrzeni wolności, o służbie prawdzie, wtedy odwołuje się do intuicji osadzonej w konkretnym miejscu i czasie. Zaiste, między słowami papieża a audytorium zawiązuje się prawdziwa nić wspólnoty, do której nawiązują, powracające jak refren, przytoczenia z Dziejów Apostolskich, by trwali w jednym.

Owa wspólnota mówiącego i słuchaczy, ożywiona jest nade wszystko pragnieniem wyjścia poza ograniczenia kultury opętanej w naszych czasach prawdziwym szaleńcem „specjalizacji”, nie mówiąc już o jej uniformizacji, tj. przykrojeniem do gustów wszystkich, a zatem – nikogo. Jednym z wielu przesą-

dów współczesności jest i ten, który ustanawia granicę między „twórcami” a „konsumentami” kultury. Granica ta bywa obudowana specjalnym ceremoniałem i liturgią, wznoszenie jej zaś przyśpiesza tylko proces tworzenia się sekt, z których każda, zarówno „twórcza”, jak i „konsumencka” zdaje się być zainteresowana obroną własnych pozycji, zdobywaniem dla siebie nowych przywilejów. A przecież sens obecności w kulturze nie polega bynajmniej na korzystaniu ze zdobyczy wypracowanych przez grupy „fachowców” i „ekspertów”, lecz na współpracy – nie zawsze zgodnej – obydwu partnerów tego dialogu, czemu przecież na przestrzeni tylu wieków przyświadcza historia Kościoła, stwarzającego wszystkim równe szanse zarówno w korzystaniu, jak i produkowaniu dóbr kultury. Sprzyjał temu uniwersalizm kultury chrześcijańskiej, stopniowo usuwający przeszkody wyrosłe na podłożu różnic klasowych, umysłowych, obyczajowych. Uniwersalizm ów także i dzisiaj jest odpowiedzią kultury na zagrożenie, jakie czeka ją ze strony doktryn ideologicznych i politycznych, co jak wiemy prowadzi do zniewolenia umysłów. Jeśli nadto ideałem kultury XX wieku stała się pochwała wynalazczości i nowości za wszelką cenę, to właśnie chrześcijaństwo zapamiętało te w poważnym stopniu ostudza, zwracając wyobraźnię artysty ku temu, co wieczne, nie poddane chwilowym modom, przejściowym namiętnościom. Kościół tworzy autentyczną wspólnotę, wspólnotę wiary, lud Boży, w którym każdy mając zagwarantowane, bo od Boga mu dane prawo do bycia sobą, czyli osobą, jednoczy się zarazem z innymi w tym samym obrzędzie, ponad wszelkimi sztucznymi podziałami narzuconymi z zewnątrz.

Myśląc tak, z grubsza i schematycznie, dajemy za ledwie wstępny wyraz potrzebie ustosunkowania się do sprawy, której słowa papieża dotyczą, a mianowicie atrakcyjności oferty, jaką dzisiaj Kościół składa wszystkim, poczuwającym się w jakimś stopniu do uczestniczenia w tworzeniu i konsumowaniu wartości kulturalnych. Pora wyjść w tych rozważaniach poza rozpowszechniony domysł, że oferta ta nadeszła w momencie, gdy zabrakło innych, równie jak ona wiarygodnych, nieskompromitowanych podejrzeń o sprzyjanie władzy. Działy tu z pewnością impulsy leżące głębiej i do spraw poruszonych w poprzednim akapicie można by dorzucić szereg dalszych, tyle, że w sposób bardziej precyzyjny i konkretny, co z kolei przekracza zamierzenia tego szkicu. „Kościółowi powiodło się być powszechnym i ogromnie zróżnicowanym jednocześnie”, napisał ks. Janusz Pasierb (*Pionowy wymiar kultury*), w czym przecież także zawiera się niemal sekret popularności tego mecenatu, jaki sprawuje on dziś w Polsce nad całą rzeszą artystów, którzy tutaj bardziej niż gdzie indziej znajdują zabezpieczenie swych praw do uprawiania twórczości w duchu własnym i indywidualnym. Ta tolerancja Kościoła posoborowego w sprawach sztuki jest tak dalece posunięta, że czasem wręcz budzi obawy o zbyt i na dłuższą metę szkodliwy „leseferyzm”. O wszystkim decyduje jednak chrystocentryczny wymiar kultury będący jej wymiarem osobowym. To, że tajemnica wcielenia i odkupienia staje się jakby kluczem

pomocnym do zrozumienia tego, jak człowiek wykracza poza swój przygodny byt, stając się osobą.

Najbardziej czytelnym i zarazem najbardziej poruszającym wykładem tej personalistycznej filozofii Osoby stała się w latach obecnego pontyfikatu Jana Pawła II jego pierwsza encyklika *Redemptor hominis*, której echa, odpowiednio modulowane, powracają w przemówieniu w Kościele Św. Krzyża 13 czerwca 1987 roku. Kiedy mówił do zebranych tam słuchaczy: „Każdy z Was daje szczególne świadectwo o człowieku: o tym, jaki jest właściwy wymiar jego egzystencji”, co jest właśnie owym echem słów z encykliki „o człowieku w całej jego prawdzie, w pełnym jego wymiarze”. Tak, jak przywrócenie pracy wartości przez zaakcentowanie jej związku z twórczością („działanie, którym człowiek odtwarza własne życie w pracy”), w czym Simone Weil (*Ciążenie i Łaska*) zgodziłaby się pewnie z Norwidem, gdyż wtedy praca otrzymuje charakter działań zbieżnych z urzeczywistnianiem się osoby, to z kolei w przemówieniu papieskim zdaje się odsyłać do encykliki *Laborem exercens*. Ekumenizm, dialog, otwarcie, cechy Kościoła posoborowego, które spełniają jednocześnie niezwykle ważną rolę jako czynnik kulturotwórczy, gdyż czynią przesłanie chrześcijańskie ogólnodostępnym, wolnym od ciasnych, doktrynerskich ograniczeń, otwartym właśnie na dialog z przedstawicielami innych kultur i religii. Ethos sztuki, który zbliża się w świetle tych posoborowych tendencji do ethosu pracy. Tego ethosu, z którego zrodziła się „Solidarność” jako wielki poryw ludzi wolnych i – twórczych. Sens więc obecności w kulturze chrześcijańskiej wiedzy przez wyraźne uświadomienie sobie tego przewrotu, jaki nastąpił w wyobrażeniach na temat pracy. Czyż nie dość, by na tej podstawie mówić o ludziach zgromadzonych w Kościele Św. Krzyża, że trwają we wspólnocie, której na imię „praca-twórczość”.

Ethos artysty jest zatem w jednym ze swych najpierwotniejszych znaczeń ethosem pracownika, walczącego z oporem tworzywa, kiedy „glina” – mówiąc słowami Norwida – staje się „kształtem”, samotnego w swym niezłomnym dążeniu do wyzwolenia się spod presji różnych determinizmów z wyjątkiem tego imperatywu, który z niego wypływa, odpowiedzialnego wreszcie za wyniki swej pracy nie tylko wobec tych, dla których rezultaty te mają stanowić zachętę do rozwijania własnej dzielności i prawdy, ale i wobec własnego sumienia, tej iskry bożej, która jest władzą sądenia, czyli rozróżniania dobra od zła. „Odtwarza na nowo to, co mu zostało dane. Wykuwa nawet to, czego działaniu podlega. Pracą wytwarza własne naturalne istnienie” (S. Weil, *Ciążenie i Łaska*). Jeśli zatem papież z taką satysfakcją mówi o tym szczególnym przymierzu, „jakie dokonało się u nas w ostatnich latach między twórcami a ludźmi pracy”, to mamy prawo i obowiązek doszukiwać się w takim stwierdzeniu głębszych treści i motywacji nie narzuconych tylko przez wiadome okoliczności, w jakich owo „przymierze” mogło tak wspaniale rozkwitnąć. Jeśli twórczość artystyczna ulega swoistej nobilitacji przez fakt zrównania jej z pracą, staje się tak dlatego, że praca poszerza osobowe istnienie człowieka,

nadaje mu godność i wartość wcześniej mu nieznaną, a jeśli znane, to w wymiarze cząstkowym i niepełnym. W tym poszukiwaniu podstaw nowej egzystencji i identyfikacji człowieka jako artysty, twórcy kultury, istotną też rolę odgrywa przyznanie mu uprawnień, do których wcześniej nie aspirował, mianowicie, iż staje się on jednym z tych, o których św. Augustyn w *Wyznaniach* powiedział, że „widzą coś, co przekracza umysł pysznych”.

Najwartościowsze świadectwo wiary składają dziś ci, o których mówił papież, iż „odnaleźli w stopniu przedtem nieznanym łączność z Kościołem”, ci „pyszni”, do których obecnie zwracał się Ojciec Święty z zachętą, by w pokorze przyjęli dary Ducha Świętego. To właśnie oni, odgradzeni dotąd od religii murem obojętności i niechęci, którym często zwykła ludzka uczciwość nie pozwalała przekroczyć tej granicy, jaka oddzielała życie od Tajemnicy, gdyż nie byłiby w stanie racjonalnie uzasadnić motywów owego kroku, ci właśnie świadczą dziś może przede wszystkim na rzecz postawy głęboko autentycznej i zaangażowanej, bo zakładającej konieczność dokonywania ciągłych wyborów, nieustannego utwierdzania się w prawdzie, dla której brak nazwy i gotowych kształtów. W Kościele ludzie ci odnajdują autentyczną więź wspólnoty, która nikogo nie pomniejsza, nie degraduje jego aspiracji do ram, które miałyby rzekomo zostać przez wszystkich zaakceptowane. Jeśli dana im jest łaska darów Ducha Świętego, łaska Oświecenia, to – zauważmy – nie na drodze mistycznej iluminacji. „Cud przemienienia chleba w Ciało Chrystusa uda się zawsze, ale przemienienie rzeczywistości zwyczajnej w świętą uda się tylko przy wspólnym działaniu wszystkich, którzy tego chcą” (Andrzej Kijowski). Proszę przeczytać książkę cytowanego właśnie autora, *Tropy*, w całości zresztą wysnutą z medytacji nad pontyfikatem Jana Pawła II, książkę bardzo osobistą, wzorowaną na *Wyznaniach* św. Augustyna, by przekonać się, czym dla kultury chrześcijańskiej dzisiaj może być takie doświadczenie wiary, które jest podróżą do źródeł. „Doświadczamy wszystkich absurdów wiary, wszystkich zachwyty, zdumień i zwątpień, które zapisali Tertulian, Orygenes i Augustyn” (tenże).

Czyż nie jest faktem głęboko zastanawiającym w swym autentyzmie, że ci, którzy dziś stoją jeszcze często „u wrót kościoła”, jak kiedyś Krzysztof Baczyński, mówią o chorobie duszy współczesnej, o głodzie prawdy, o wierze jako lekarstwie, słowem odnoszą się do wyobrażeń elementarnych potrzeb człowieka, którym tylko wiara zdolna jest sprostać. To może głównie dla nich kultura jawi się jako miejsce spotkania Boga i człowieka, gdyż prawda ta, z trudem zdobyta, stanowi ukoronowanie całego pasma błędów i daremnych poszukiwań, pychy i samowoli. Człowiek chce się w głębi czuć istotą podtrzymowaną przez kogoś z zewnątrz, powiedział gdzieś Czesław Miłosz, ten sam Miłosz, który na sobie samym doświadcza wszystkich zawodów i oczarowań, jakich los nie szczędzi poetom metafizycznym. Dla nich największym zagrożeniem jest religijne doktrynerstwo, nieumiarkowana żądza, która stara się formować wyobrażenia religijne na sposób „naukowy” czy „postępowy”.

Nie można tutaj nie wspomnieć o tym niebezpieczeństwie, tak żywo odczuwanym przez „przybyszy”, że Kościół nie zawsze skutecznie odpowiada na wezwanie wiernych, którym przestał wystarczać świecki model życia, że szukają oni gwarancji prawdy i słuszności w instytucji, która winna być na ów model doskonale uodporniona. Nie to, że w posoborowej odnowie życia religijnego razi ich zbytnia „nowoczesność”, lecz że nowoczesność ta w niczym nie przyczynia się do rozbudzenia żywej wiary w duchu pierwszych wspólnot chrześcijańskich, o których mówił Kijowski. Nie trzeba koniecznie powoływać się na zdobycze współczesnej hermeneutyki, by zrozumieć, że słowa takie, jak „łaska”, „eucharystia”, „obcowanie świętych”, „grzech”, „pokuta” mają w ustach artystów, ludzi kultury składających świadectwo wierze sens nadzwyczaj prosty, jako składnik ich życiowego doświadczenia.

Miłosz np. na sobie samym odczuwa przymus odkupienia tego pierworodnego grzechu, „niemoralności” każdej sztuki, czym jest dystans wobec świata, który artysta pragnie wiernie odtwarzać zgodnie z regułami „mimesis”, twierdząc, że właściwym zadośćuczynieniem z jego strony może być pilna uwaga z jaką śledzi ukryty wymiar rzeczywistości. Ten wymiar dzisiaj okazuje się zbyt trudny do uchwycenia bez tej pomocy, jaką pisarz może czerpać z litery i ducha Pisma. Sprawa jest zbyt dobrze znana, by ją tutaj rozwijać. Zastąpmy u Kołakowskiego „mit” – „wiarą”, a otrzymamy próbę laickiego uzasadnienia tej samej, w istocie głęboko religijnej potrzeby „przeżywania świata jako sensownego przez relatywizację do niewarunkowej realności wiążącej celowo zjawiska” (*Obecność mitu*), potrzeby, która w sposób szczególnie widoczny, by nie rzec – namacalny wyraża się w dziełach sztuki. Humanista o wrażliwości etycznej tak wyostrzonej, jakim był Jan Strzelecki jest naturalnym sprzymierzeńcem etyki chrześcijańskiej i chrześcijańskiej kultury. Jej prawdziwe kontury zamazują tylko słowa o nieokreślonej treści, jak „humanizm” czy „socjalizm”, zasadnie używane w innych kontekstach. Dość przykładów.

Orędzie papieskie wyznacza oto obszar równowagi między przestaniem chrześcijańskim a sferą kultury, do której przestanie owo się odnosi, nie w imię jakichś partykularnych interesów Kościoła, lecz potrzeby głęboko zakorzenionej w ludzkim *esse*. Ukazuje ten wymiar ludzkiej egzystencji, bez którego naprawdę usycha wszelka twórczość, wszelki trud mający na celu pomnożenie w świecie sumy dobra, prawdy i piękna. Chodzi o to, by temu wyzwaniu sprostać i przełożyć je na język ludzkiej *praxis*.